ROK 1. **Numer poświęcony dziecku opuszczonemu.** CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 16. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 26 maja 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Mały gazeciarz.

L. BARANSKA

„LIGA OPIEKI NAD DZIECKIEM".

Kilka pierwszych artykułów w niniejszym numerze pisma, poświęconych jest sprawie opieki nad dzieckiem opuszczonem.

Opuszczone dziecko, to niekoniecznie sierota. W długim szeregu opuszczonych, są i takie dzieci, które posiadają ojca lub matkę, a nawet takie, które mają oboje rodziców.

Są to chłopcy i dziewczęta, których warunki domowe, brak dozoru, złe, nieodpowiednie traktowanie, a wreszcie awanturniczy, włóczęgoski, żądny wrażeń i użycia charakter, wypędził z domu.

Nikt się niemi nie opiekuje!

Nikogo nie obchodzą. Rodzice zapomnieli o nich, albo się ich wyparli! Nikt nie przygotowuje ich do życia, nie uczy uczciwej pracy, nie pokazuje zła i dobra. piękna i ohydy. Rosną w brudzie ulicy wielkiego miasta.

Cóż więc dziwnego, że w nieświadomości swej, staczają się coraz niżej i niżej — te bezdomne, opuszczone dzieci!

Jak wielka jest ich gromada! Gromada nie ukryta przed okiem naszem, ale rosnąca tuż tuż, obok nas!

To ci gazeciarze, wykrzykujący ochrypłym głosem od rana do późnej nocy, to uliczne sprzedawczynie irysów, kwiatów, zapałek, zaczepiające każdego przechodnia przed kinem, ogrodem, witryną sklepową. To te wyrostki, wałęsające się w okolicy dworca głównego...

Opuszczonych spotykamy wszędzie, byle tylko umieć patrzeć...

Tak właśnie patrzeć umiało grono ludzi, które oceniwszy grozę niebezpieczeństwa i smutny los tych dzieci, postanowiło je ratować.

Założono towarzystwo pod nazwą:

„Liga Opieki nad Dzieckiem". Siedziba „Ligi" mieści się przy ul. Jasnej Nr. 11 m. 4, pokój Nr. 11. Liga prowadzi poradnie, w których udziela rad i wskazówek matkom i opiekunom, wychowującym dzieci trudne z niebezpiecznemi wadami charakteru.

Poradnie mieszczą się:

1. Jasna Nr. 11 m. 4, pokój Nr. 11.

2. Leszno Nr. 11 w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci.

3. Wilcza Nr. 20 w mieszkaniu p. Dr. Grzywo-Dąbrowskiej.

W latach 1927 i 1928 „Liga" prowadziła „Świetlice", w lokalach szkół powszechnych przy ul. Marjensztadt, Bema, Górczewskiej i na Ochocie, oraz pracownie: koszykarską w lokalu szkoły średniej przy ul. Zielnej Nr. 23; wyrobów z rafji przy ul. Nowolipki w szkole powszechnej.

W roku bież. „Liga" prowadzi introligatornię przy ul. Jasnej 13—15 w lokalu szkolnym. Zajęcia, prowadzone są: w poniedziałki, środy i piątki od 4—6 pp. W każdą niedzielę od g. 10 — 12-ej czynny jest Klub, który kilkakrotnie zmieniał siedzibę z braku własnego lokalu. Obecnie Klub mieści się przy ul. Jasnej Nr. 13—15.

Nie rozporządzając żadnym funduszem, „Liga" boryka się z trudnościami, nie może zdobyć własnych lokali, rozwinąć swej działalności we wszystkich dzielnicach Warszawy, skupiać koło siebie młodzież, tak bardzo potrzebującą dobrego słowa, serca, nauki.

„Liga" pragnie budować własny gmach, a w nim urządzić piękny, wzorowy internat. Ma już plany, ma plac na Bielanach, przydzielony jej przez Magistrat m. st. Warszawy.

Niestety, brak jej tylko... pieniędzy! Ofiarność społeczeństwa, pomoc czynników miarodajnych powinny „Lidze", pomóc, a zmniejszy się ilość mieszkańców szpitali, więzień i domów dla przestępców.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

WIOSNA I MAŁY GAZECIARZ.

Przyniosła ją kobieta w chustce w białe kratki.
Schowana w żółtym koszyku
wyglądała, jak niebieskie kwiatki,
bukiet przy bukieciku.
Każdy z przechodniów wiedział, że to wiosna,
gdy spojrzał na ten koszyk.
Mały gazeciarz z kieszonki wyjął dwadzieścia groszy
i od tej obcej kobiety w białe i czarne kratki,
kupił niebieską wiosnę
dla swojej chorej matki.

Dr. N. ZANDOWA

O DZIECIACH ULICY.

W ostatniej książce Korczaka p. t. „Prawo dziecka do szacunku" znajdujemy taki ustęp: „Dla wykroczeń i uchybień wystarczy cierpliwa, życzliwa wyrozumiałość; występnym potrzebna jest miłość. Ich gniewny bunt — sprawiedliwy. Trzeba odczuć żal ku łatwej cnocie, sprzymierzyć się z samotnym, wyklętym występkiem. Kiedy, jeśli nie teraz, otrzyma on kwiat uśmiechu".

Zdania te przejęły mnie radością. Dojrzało, zatem, społeczeństwo nasze o tyle, by zrozumieć, że występek jest jak choroba, że należy go otoczyć większą troskliwością, niż cnotę, choremu trzeba dać więcej opieki, niż zdrowemu. Trzeba go leczyć, by go ocalić przed zgubą, trzeba leczyć wcześnie, aby nie zaraził innych. Atoli po chwili przyszedł moment refleksji: nie jest to wszak głos społeczeństwa, lecz odosobniony głos entuzjasty[1]) dziecka. Na domiar złego zjawiła się zaraz druga refleksja[2]), jeszcze smutniejsza od poprzedniej: a czy odosobnieni entuzjaści dziecka dają „kwiat uśmiechu" występkowi? Czy w Zakładzie, którym oni kierują, jest miejsce dla „występnych"? O, nie, po stokroć nie. Wystarczy rys jeden występny (skłonność do kradzieży, lub patologiczna[3]) kłamliwość), aby dziecko z Zakładu usunąć. Nie krytykuję tego surowego prawa, może jest słuszne: nie można narażać większości zdrowej dla ratowania mniejszości chorej, nie można pozwolić, by zły przykład zarażał. Zapytuję tylko, dokąd ma się udać ow „początkujący występek"? Gdzie jest Zakład, któryby go przygarnął? Zakładem takim bez ścian i granic jest nasamprzód ulica. Nie daje ona uśmichu, zato daje dużo wrażeń, niestety wiedzie w końcu do Zakładu o grubych, zimnych i złych ścianach, do Zakładu, któremu na imię jest „Studzieniec", lub nieco inaczej, ale w którym nigdy niema miłości, nigdy nie dźwięczy śmiech. A bez tych atrybutów[4]) zakład poprawczy jest bezcelowy, jest szkodliwy, nie poprawia „początkującego występku", lecz czyni z niego zarzewia „buntu słusznego".

Wejrzymy raz w istotę „początkującego występku" spokojnie bez egzaltacji[5]). Staje przedemną w przychodni leczniczej dziewczynka 16-oletnia. Przyprowadziła ją matka i przedstawiła, jako „dziecko od urodzenia mało inteligentne, które ostatnio zdefraudowało szereg drobnych sum w znajomych sklepach, uciekło na 2 dni z domu i powróciło shańbione". Oto akt oskarżenia, wypowiedziany przez rodzoną matkę. Delikwentka[6]))—drobna, ładna osóbka, wyglądająca na lat 14, o spojrzeniu ponurem, zaciętem. Po rozmowie z dziewczynką przyszłam do wniosku, że jedną jej winą była zbytnia łatwowierność, że w poszukiwaniu „kwiatu uśmiechu" i miłości zawierzyła pierwszemu lepszemu chłopcu, który obiecał wywieźć ją daleko z domu rodzinnego i dać życie jaśniejsze. Pieniądze zdobywała na wspólną podróż. Chłopca prawie nie znała, a tem mniej kochała, ale był dla niej uprzejmy i miły, a w domu wszyscy byli opryskliwi i brutalni.

Oddana pod opiekę osoby, spełniającej służbę samarytańską ożywiania kwiatów, więdnących bez słońca i miłości, dziewczynka w ciągu kilku tygodni wypogodziła oblicze i roześmiała się po raz pierwszy w życiu. I inteligencja jej okazała się nie tak małą, jak ją oceniała matka, osoba nerwowa, niezrównoważona i ciemna.

Szereg długi podobnych „początkujących występków" ciśnie mi się przed oczy: z każdego może wyrosnąć piękny człowiek, tylko mu trzeba atmosfery miłości i pracy dobrze zorganizowanej.

Zdawałoby się, że wszyscy to rozumieją, każdy w sercu odczuwa, że dzieci nie są złe, tylko biedne, że to, co starsi nazywają złem, to dla nich jest tylko innem, niż to zło codzienne, co im tak już dokuczyło, zbrzydło, zmęczyło. Dziewczynka, o której wspomniałam, napisała: „uczę się szyć i robię to z wielką przyjemnością, a nie myślałam nigdy, że praca może być przyjemną".

Cała zagadka wychowania polega na tem, żeby obowiązek uczynić przyjemnym. Stąd płynie niezmierna doniosłość współczesnych szkół pracy, które podają naukę w formie przyjemnej, łatwo przyswajanej przez dzieci.

---

1) zapalеniec, zagorzalec w celu szlachetnym.

2) zastanowienie.

3) chorobliwa.

4) własności.

5) uniesienie przesadne.

6) przestępczyni.

M. GRZYWO-DĄBROWSKA

KOLONJE LETNIE „LIGI OPIEKI NAD DZIECKIEM" W WOŁOMINIE.

Zorganizowane przez Ligę opieki nad Dzieckiem kolonje letnie mieściły się w Wołominie, w specjalnie na ten cel zakupionym namiocie. Trwały one od 9.VI do 28.IX. Wysłano na wieś 22 chłopców, przeważnie



Namiot kolonji w Wołominie.

w wieku 13—14 lat, paru nieco starszych. Dzieci te były po większej części w ewidencji[1]) Sądów dla nieletnich. Trudny był to z początku materjał. Przyzwyczajeni do bezgranicznej swobody, gdyż przeważnie pozbawieni opieki, nie mogli początkowo wcisnąć się w ramy, jakie życie wspólne na nie kładło. Kilkoro, w pierwszych dniach istnienia kolonji, z własnej woli ją opuściło. Sami przyznawali, że jest im tam dobrze, że nie braknie niczego prócz wolności, do której przywykli, oraz możności palenia papierosów, co przeszło już u nich w nałóg. Woleli wrócić do dusznego miasta, do ciasnych i często bardzo brudnych ścian domu, niż się nagiąć.

Pozostali chłopcy w ciągu pierwszych dni, a nawet tygodni wykazywali zbyt wybujałą dążność do swobody, skłonność do bijatyki i niedobrych żartów. Stopniowo jednak pod wpływem serdecznej opieki, zetknięcia z przyrodą, zaczęli zatracać swą siłę niszczącą i zamienili się w dzieci bynajmniej nie gorsze od innych. Krańcowy ich egoizm[2]) zaczął ustępować uczuciom społecznym, już się nie wykręcali, lecz często na ochotnika zgłaszali w wypadkach, gdy należało wykonać dla gromady jakąś żmudną, a często i przykrą pracę... Kierownik Kolonji, pragnąc rozbudzić w nich zdolność zastanawiania się nad swymi czynami oraz poczucie odpowiedzialności za nie, postanowił nie załatwiać tylko sam jeden spraw, związanych z rozmaitemi przekroczeniami dzieci, lecz oddawał je do rozważania i osądzania swym wychowankom, bacząc pilnie na wyniki. Okazywali się oni wtedy w swej gorliwości zbyt surowi tak, np. chcieli za bójkę ukarać winowajcę tygodniowym domowym aresztem, pozbawieniem go spaceru i kąpieli. Trzeba więc było łagodzić wyroki.

Ogólny tryb dnia był następujący: O 6 i ½ pobudka, przed śniadaniem pół godz. gimnastyki, po śniadaniu sprzątanie namiotu, wycieczka do lasu lub do kąpieli. Rozstawiony na szczerych piaskach namiot i dostateczna ilość łopat, pozwalała im godzinami całemi bawić się w piasku, szczególniej początkowo, zanim nabrali więcej ochoty do dalszych wycieczek. Z radością wykopali w piasku rodzaj podręcznej piwniczki do celów gospodarskich.

Po obiedzie obowiązkowa godzinna cisza, potem nieco wolnego czasu, następnie podwieczorek. W razie potrzeby w godzinach poobiednich odbywały się sądy.

Po podwieczorku kąpiel, śpiew, wycieczki do lasu, pogadanki etyczne np. o obowiązkach chłopca na kolonjach, pogadanki przyrodnicze, społeczne, wdrożenie dzieci do systematyczności i karności było rzeczą trudną. Nie mogli oni np. przez czas dłuższy pogodzić się z tem, że do jedzenia, tak samo jak i do innych czynności, winny być stałe godziny, rozkładem



Zabawa na piasku.

[1]) wykaz.

[2]) samolubstwo.

dnia przewidziane. „W domu nikt mi nie mówił, kiedy mam jeść, zawsze na stole był chleb i mogłem brać, gdy chciałem, nikt mi nie wyznaczał“.

Stopniowo jednak brak karności począł ustępować posłuszeństwu, coraz rzadziej na wydawane polecenia dziecko odpowiadało: nie chcę, nie zrobię, nie pójdę.

Aczkolwiek mieli oni do dyspozycji dość zasobną bibljoteczkę, książki, naogół wziąwszy, nie cieszyły się wielkiem powodzeniem, woleli się bawić. Z gier, jakie znali, początkowo najulubieńsza była w złodziei i policjantów, dość szybko jednak poznali i polubili rozmaite gry i zabawy ruchowe i z zapałem im się oddawali. W dni pogodne po kolacji zbierali się niekiedy na gawędy przy ognisku, co stanowiło miłe urozmaicenie wieczoru.

Odżywianie, naogół smaczne, zdrowe i obfite



Przed namiotem.

składało się z 4 posiłków w ciągu dnia, koszt utrzymania wynosił 2 zł.

Dla przykładu przytoczę menu[3]) jednego z dni.

[3]) jadłospis.

I. śniadanie: kubek kakao i chleb. Obiad: zupa, potrawa, mięso (ryż, kluski) naleśniki, sałata. Podwieczorek: kubek mleka chleb z marmeladą, rzodkiewka,



Przed ranną gimmastyką.

Kolacja: potrawe z ryżu lub jarzyn herbata i chleb. Mięso dwa razy tygodniowo.

Wszyscy chłopcy wrócili pod względem fizycznym z ogólną poprawą, a niektórzy z bardzo znacznym przyrostem wagi.

Być może, większe jeszcze zmiany dodatnie zaszły w nich pod względem moralnym. Tracąc naleciałości zewnętrzne, jakie nawiarstwiała na nich ulica, dzieci te, chowane najczęściej za pomocą szturchańca, kija i groźby, pod wpływem serdecznego stosunku, z jakim się ze strony kierownika spotkały, zmienili się w dzieci, z ufnością i serdecznością garnące się do niego, okazując mu swe przywiązanie. Najgłębszym tego wyrazem była ich prośba, by te wakacje nie były tylko luźną kartą ich życia, by nadal mogli oni pozostać w łączności.

To posłużyło za bodziec do założenia Klubu, którego życie opiszemy poniżej.

JADWIGA SAKSÓWNA

KLUB „LIGI OPIEKI NAD DZIECKIEM“.

Klubem nazwaliśmy tygodniowe zebrania, które odbywają się co niedzielę w rannych godzinach 11—2. Nazwę „klub“ obraliśmy z tego względu, iż pragnęliśmy zaznaczyć odrazu, że zebrania niedzielne będą poświęcane wyłącznie zabawom i rozrywkom, w przeciwstawieniu do naszej pracowni, gdzie chłopcy pracują, jak również w przeciwstawieniu do organizowanych przez inne towarzystwa „Świetlic“, gdzie dzieci często się uczą, odrabiają lekcje i t. p.

Pierwsze zebranie klubu, wyznaczone zostało na dzień 7 października r. ub. t. j. w 5 tygodni po powrocie z kolonij i na zebranie to zostali zaproszeni piśmiennie, wszyscy chłopcy. Niestety w krótce przekonaliśmy się, że kontakt, nawiązany na wsi, daje się z trudem utrzymać w mieście i niebawem większość chłopców straciliśmy z oczu. Przyczyniały się do tego w znacznym stopniu ładne jesienne pogody, podczas których chłopcy nie mogli usiedzieć w pokoju. To też

początkowo zdarzały się takie zebrania, gdy przychodziło ich zaledwie czterech i trzeba było wiele wysiłków i starań z naszej strony, by tę małą garstkę przyciągnąć.

Tymczasem nadeszła zima, otwarto pracownię i do klubu napłynął nowy element. Chłopcy bowiem, którzy uczęszczali w dni powszednie do pracowni, w niedziele przychodzili do klubu. Dzieci ulicy, pozostawiane zawsze samym sobie i nieprzyzwyczajone do tego, by ktoś dbał o nie, a zwłaszcza starał się uprzyjemniać im czas, chętnie garnęły się do klubu, gdzie było ciepło i wesoło, sprowadzając częstokroć rodzeństwo i kolegów.

Klub zapełnił się. Nowi przybysze szybko zbliżyli się z chłopcami z kolonij i wkrótce zapanował miły i pogodny nastrój.

Oto kilka liczb charakteryzujących życie klubu:



W klubie „Ligi".

Od początku roku mieliśmy 22 zebrania, podczas których 5 razy chłopcy byli w kinie (Bezpłatne bilety od Magistratu do „Kina Miejskiego" i bezpłatne bilety, zaofiarowane przez administrację kina „Uranja") raz na „Jasełkach" w Konserwatorjum, raz w Muzeum Narodowem i raz w Muzeum Wojskowem.

Zebrania odbywały się początkowo przy ul. Leszno 11 w lokalu Tow. Przyjaciół Dzieci, następnie zostały przeniesione do lokalu pracowni, który użyczony nam został przez „Komitet Doraźnej Pomocy Dzieciom" (ul. Ogrodowa 3).

Od początku roku przez klub nasz przewinęło się 41 chłopców, dwunastu z nich odpadło po niedługim czasie. Byli to przeważnie ci, których warunki materjalne były nienajgorsze, tak, że w niedzielę mogli z łatwością nabywać bilety do kin i do teatrów na własną rękę i spędzać ten dzień według własnego upodobania.

Z pozostałych 29 chłopców — dziewięciu uczęszcza nieregularnie, 20 zaś jest stałemi bywalcami klubu, w liczbie tej jest 9 chłopców z kolonij. Tak więc klub nasz liczy obecnie 20 stałych uczestników, co przy obecnych warunkach mieszkaniowych stanowi liczbę maksymalną, której narazie niestety przekroczyć nie będziemy mogli.

Podczas zebrań chłopcy bawią się grupami. Dużem powodzeniem cieszą się warcaby, domino, Czarny Piotruś, loteryjki. Gry te są własnością klubu i chłopcy bardzo je szanują. Muszę zaznaczyć, że od początku roku ani jeden kamień nie zginął.

Pozatem urządzamy gry towarzyskie: a) ruchowe, b) umysłowe. Gry ruchowe lubiane są przez wszystkich i w obecnym lokalu, ze względu na większą przestrzeń, dają się łatwiej organizować.

Jednakże przy grach tych, stają się chłopcy hałaśliwi i trudni do opanowania, to też urządzamy je poczęści na końcu zebrań, gdyż później trudno jest ująć ich w karby i zmusić do spokoju.

Trzeci typ gier, stosowanych w naszym klubie, stanowią gry umysłowe, a więc szarady, odgadywanie wyrazów, przysłowia, odgadywanie ruchów pg. wskazówek „ciepło i zimno" i t. d. i t. d.

W grach tych biorą udział tylko inteligentniej si t. j. mniej więcej połowa uczestników. Ci jednakże bawią się z prawdziwym zapałem. Interesują się każdą nowoprzeprowadzoną grą, przyczem nieraz wprawiają nas w zdumienie swemi dowcipami, pomysłami i bystremi spostrzeżeniami.

Z żalem jednakże stwierdzić muszę, że talentów organizatorskich wśród naszych chłopców, dotychczas wykryć nie zdołaliśmy. Częściowo daje się to tem wytłumaczyć, iż rzadko który z nich potrafi pozostałym o tyle zaimponować, aby zmusić kolegów do posłuszeństwa i choćby na krótko narzucić im swą wolę.

Próbowaliśmy wprowadzić samorząd: wójta, kierowników gier, porządku i t. p. Jednakże wybory, które traktowali bardzo poważnie, niebawem poszły w zapomnienie, a zarówno wyborcy, jak i obrani wkrótce zapomnieli o swych obowiązkach.

Dużą samodzielność natomiast ujawniają przy prowadzeniu bibljoteki, składającej się z 70 tomów. Wybrali z pośród siebie bibljotekarza i zastępcę, którzy ze swych obowiązków wywiązują się nienagannie. Sporządzony został katalog, a książki oprawione i podklejone wydawane są co niedzielę w klubie. Specjalnem powodzeniem cieszą się oczywiście podróże „walki z Indjanami", a wśród młodszych bajki.

Przy zwrocie książek następuje żywa wymiana myśli i wrażeń, która dla kierownictwa klubu daje nieraz pole do ciekawych spostrzeżeń.

Prócz książek wypożyczonych do domu, klub abonuje tygodnik „Płomyk", którego luźne numery leżą podczas zebrań na stole i chłopcy chętnie pisemko to czytają, rozwiązując szarady i zagadki.

Do spraw klubu chłopcy odnoszą się z dużem zainteresowaniem. Podkleić jakąś grę, oprawić książkę z bibljoteki,, narysować obrazek do klubu uważa-

ją za zaszczyt dla siebie i chętnie się wszelkich takich prac podejmują, wykonywując je jak najstaranniej.

Na wielu chłopcach już teraz daje się zauważyć dodatni wpływ pracowni i klubu. Jeden z nich naprzykład, którego matka skarżyła się uprzednio, że kradnie jej pieniądze z szuflad, po pewnym czasie przedstawił się nam z zupełnie innej strony.

Na drugie śniadanie w niedzielę otrzymują chłopcy bułeczki maślane, które kupowaliśmy zawsze w pobliskiej piekarni. Razu pewnego posłałem po zakup chłopca, o którym wyżej mowa, dając mu 3 zł. Przynosi bułki i zwraca mi 75 groszy reszty. Gdy zdziwiona zapytałam, skąd je ma, odpowiedział, że obok dużej piekarni była mniejsza i, że w tej pieczywo jest tańsze. Odniósł mi więc resztę, chociaż mógł ją zatrzymać, a ja i tak nie wiedziałabym o tem. Mógł również kupić więcej bułek — i tego nie uczynił.

Porównywując pierwsze zebrania z obecnemi, stwierdzam z zadowoleniem, że nastrój ich uległ zasadniczej zmianie. Chłopcy przychodzą chętnie, nie trzeba ich obecnie namawiać i przekonywać. Za dowód, jak bardzo lubią swój klub, może posłużyć fakt, że nawet podczas największych mrozów stawiali się prawie w komplecie.

Do kierownictwa odnoszą się z zaufaniem i sympatją. Nie było wypadku, żeby zrobili" coś na złość". Owszem hałasują nieraz, zmuszając nas do uwag i nagan, ale czynią to nie dlatego, by nam przykrość wyrządzić, lecz poprostu dlatego, że nie mogą się opanować.

Sami zresztą dają nam odczuć, jak bardzo był im klub potrzebny i każdy zrozumie z jaką przyjemnością usłyszałam od jednego z nich z zapałem wypowiedziane zdanie: „Bo ja klub wolę nawet niż kino". A to nie bylejaka pochwała w ustach 14-letniego bałwochwalcy kina.

Wraz z nastaniem cieplejszych dni, zebrania klubowe w pokoju zostaną zlikwidowane i przekształcone w gry na otwartem powietrzu, a wtedy, na boisku, chłopcy będą mogli swobodnie wyładować swój nieokiełznany temperament.

INŻ. SZEMIŃSKA

PRACOWNIA „LIGI OPIEKI NAD DZIECKIEM".

Bardzo wiele zrobiono w Polsce w dziesięcioletnim okresie niepodległości dla podniesienia poziomu nauki oraz wychowania dzieci: pobudowano szkoły, powołano do życia instytucje wychowawcze dla dzieci anormalnych, urządza się świetlice dla dzieci szkolnych oraz bursy dla młodocianych terminatorów. Wszystkiego tego jest jednak za mało, by zapewnić czujną opiekę wszystkim dzieciom w okresie szkolnym. Gdyż szkoła to tylko pół życia, zapełnia dzieciom tylko pół dnia, resztę powinnyby w warunkach normalnych spędzać w domu pod dobrym wpływem rodziców. Jednak ciężkie warunki mieszkaniowe, zupełny brak zajęcia, wypędzają dzieci z domu. Rodzice, jeśli nawet mają czas, nie potrafią pokierować dzieckiem, nie są w stanie przeciwdziałać przemożnym wpływom ulicy, nieraz nawet sami prowadzą na drogę występku i demoralizacji.

Dzieci, mające możność uczęszczania do szkół, to jeszcze nie najbardziej upośledzone, są inne, które wskutek niedbalstwa rodziców lub braku miejsc do szkoły nie chodzą; dla tych dzieci, pracownia staje się przystanią, zastępuje im ognisko domowe, spędzają tam one czas na zajęciach praktycznych, pod czujnem okiem życzliwego, inteligentnego wychowawcy. Pracownia nasza tem różni się od szkoły, że uczęszczanie do niej nie jest obowiązkowe, wpływa zaś na charakter dziecka przedewszystkiem przez stosowanie robót ręcznych, które rozwijają spostrzegawczość, budzą w dzieciach zamiłowanie do zajęć pożytecznych, chęć do doskonalenia się, uczą je skupiać uwagę na wykonywanej czynności, uważać ją nie za zło konieczne, ale za prawdziwą przyjemność, zaprawiają je do samodzielności, wskazując jak można i poza pracownią spędzać czas pożytecznie.

I tu jest właściwy moment zapobiegania przestępczości, która tak często bywa następstwem lenistwa i braku zajęcia.

Praca nie powinna być jednostajna, nudna, z chwilą kiedy przestaje sprawiać przyjemność, a staje się przymusem, traci całą swoją wartość, gdyż dziecko raz zniechęcone, bardzo trudno skłonić do nowego wysiłku.

Najważniejszą kwestją przy organizowaniu pracowni był wybór kierownika, któryby umiał opanować chłopców. Ułatwił nam to zadanie Dyrektor Państwowego Instytutu Robót Ręcznych, wskazując odpowiedniego kandydata.

Pierwszymi uczniami naszej pracowni byli chłopcy z kolonji w Wołominie (w liczbie ośmiu), po za niemi ośmiu przysłanych przez kierownika kur-

sów dla nieletnich, i dziesięciu dostarczonych przez inne instytucje społeczne. Razem było więc dwudziestu sześciu chłopców w wieku trzynastu — czternastu lat.

Komplet narzędzi kosztował pięćset złotych, pensja nauczyciela sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie.



W pracowni „Ligi".

Z braku funduszów i miejsca Liga musiała ograniczyć się narazie do introligatorstwa i poprzestać na jednym komplecie, prowadzonym trzy razy tygodniowo po trzy godziny dziennie. Pomimo szczupłego zaopatrzenia w narzędzia, chłopcy szybko opanowali trudności techniczne.

Po pracy chłopcy otrzymują przygotowywany przez nich samych podwieczorek, składający się z herbaty i chleba z marmeladą.

Kilkomiesięczne istnienie pracowni, przekonało nas, że zajęcia w pracowni rozwijają dzieci pod względem moralnym i intelektualnym, że dzieci leniwe, nieopanowane, po krótkim czasie wykazują poprawę, typy aspołeczne — uspołeczniają się.

Chłopcy podczas pracy mają możność wypowiadania się i czasem nawet zamknięci w sobie, pokonywują wrodzoną nieśmiałość i zaczynają udzielać się otoczeniu. Gwarno nieraz bywa w pracowni, co wcale nie osłabia zapału do pracy. Wychowawca słucha, nieraz wtrąca swoje uwagi, prostuje, chwali lub gani; chłopcy już teraz nagany przyjmują ze zrozumieniem, widząc, że nigdy nie są podyktowane osobistą niechęcią do danego chłopca, lub zniecierpliwieniem.

Liga Opieki nad Dzieckiem, widząc owoce swej kilkumiesięcznej pracy, pragnie rozwinąć swą działalność, zakładając podobne placówki na krańcach miasta. Niestety o lokale bardzo trudno.

Wierzymy jednak, że przy pomocy społeczeństwa uda nam się dopiąć celu, i powiększyć ilość pracowni w stosunku do potrzeb.

D-ROWA LUBLINER

PROJEKTY NA PRZYSZŁOŚĆ „LIGI OPIEKI NAD DZIECKIEM".

Z pośród zadań „Ligi", które już dojrzały do realizacji, jest sprawa budowy internatu wychowawczego dla dzieci.

Brak odpowiedniego domu wychowawczego odczuwa się na każdym kroku. Niezbędnym jest on dla dzieci, które muszą być usunięte z domu rodzicielskiego, poddane umiejętnej kuracji psychicznej i izolowane[1]) z pod wpływów dotychczasowego otoczenia.

Kiedykolwiek porusza się sprawę budowy internatu, natychmiast słyszy się typowe zdanie: to musi drogo kosztować. Nas nie stać na to.

Co do pierwszej części zdania — zgadzam się w zupełności z każdym z moich interlokutorów[2]).

Budowa internatu wychowawczego musi drogo kosztować.

Nie projektujemy oszczędności na materjale, na miejscu, ani na sposobie wykonywania pracy.

Całość musi być estetycznie wykonana, gdyż ładne otoczenie wpływa dodatnio na duszę dziecka.

Dzieci w internacie muszą być syte, a łakocie nie powinny być dla nich dostępne jedynie drogą kradzieży, lub żebraniny.

Muszą też one być odpowiednio ubrane.

Wychowawca w internacie musi łączyć w sobie zalety dobrego fachowca i dobrego człowieka, praca jego musi być odpowiednio opłacona, aby troska o byt nie ciążyła nad nim.

Czy istotnie nie stać nas na internat? Czyż patrzeć możemy obojętnie na to ,jak giną młode dusze?

Obecnie sprawa przedstawia się tak, że społeczeństwo łoży na małoletnich przestępców, z których wyrastają dorośli przestępcy, a tych znów utrzymywać musimy w więzieniach.

Są jednak społeczeństwa, które w dobrze zrozumianym interesie własnym, łożą na zakładanie i utrzymywanie różnych internatów wychowawczych.

---

1) oddzielone.

2) rozmówca.

Bilans[3]) takiego społeczeństwa wykazuje, że to nie zmarnowany grosz, a zaoszczędzony; przytem kraj, który dba o moralne podniesienie jednostki, bogaci się, gdyż zyskuje większy procent pożytecznych członków społeczeństwa.

Założenie wzorowego internatu wychowawczego przynosi wielostronne korzyści. Poza bezpośrednim pożytkiem wychowywania dzieci opuszczonych, zakład może i powinien być szkołą dla przyszłych pedagogów, oraz stacją doświadczalną dla uczonych, tworzących i wypróbowujących nowe metody wychowania. „Liga" zdaje sobie jasno sprawę z tego, że na niej ciąży obowiązek tworzenia internatów wychowawczych nowego typu, rozumiejąc, że tylko w ten sposób spełnia ona swoje zadanie, którem jest walka z przestępczością małoletnich. Najbliższem zamierzeniem „Ligi" jest budowa Internatu dla dzieci. Społeczeństwo musi przyjść jej z pomocą.

[3]) Porównanie dochodów i wydatków przy zamknięciu rachunku.

ZOFJA NAŁKOWSKA.

DZIECI NA ŚWIECIE.

Teraz w Warszawie Sybiracy w swojej świeżo zbudowanej bursie wspominają sobie chętnie stare czasy. Każdy chodzi do swojej szkoły, każdy ma swoje sprawy i swoje obowiązki, Ale miło jest jeszcze popomówić o tem, co się kiedyś razem przeżyło.

Francuzi jednak też mają coś do opowiedzenia. Jest ich daleko mniej, zaledwie kilkunastu, przyjechali niedawno i nie odbyli przecież tak wielkiej podróży.

Emilka jest już w kraju, przyjechała z Japonji sama pod opieką dobrych ludzi. Przez ten rok niewidzenia wyrosła i zmieniła się. A ponieważ została w Japonji najdłużej i najwięcej zapamiętała japońskich wyrazów, więc ją już odtąd dzieci nazywają Japonką.

Julka niema w bursie, bo zapisał się do szkoły na wsi i tam się kształci na dobrego rolnika.

A Paweł znalazł sobie nowego przyjaciela między „Francuzami". Nie wiadomo dlaczego mu się spodobał ten mały Kazik. Może dlatego, że choć malec, był śmiały i zaradny, a może dlatego, że nosił przypadkiem to samo nazwisko, co Paweł, a tylko imię miał inne.

Kazik urodził się we Francji, w jednem małem miasteczku, gdzie były kopalnie węgla. Jego ojciec zawędrował tam, szukając pracy po szerokim świecie. Pracował ciężko, codziennie spuszczał się do szybu i mama się nieraz niepokoiła, żeby tam ojca co nie przygniotło.

Przy innych francuskich kopalniach, gdzie też pracowali Polacy, były dla ich dzieci polskie szkoły. Ale tam, gdzie mieszkali rodzice Kazika, szkoła była tylko francuska. Więc kiedy już miał zacząć się uczyć rodzice się bali, że ich dziecko po polsku zapomni, że później może będzie się chciało zostać we Francji. To też przyłączyli go do innych dzieci. które Towarzystwo zabierało do Polski, żeby tam chodziły do polskich szkół.

— Teraz sam tu jestem, — mówił Kazio. Ale jak tylko w Polsce będzie łatwiej o robotę, to się tatuś i mama tutaj wrócą i wtedy już będziemy razem.

Paweł znów przypominał sobie, jak wszędzie w Ameryce, przez którą wędrował, było dla ludzi dosyć roboty, jak sobie tam robotnicy nieźle żyli w czystych, wygodnych domkach, i nie wolno im było pić wódki. Pragnął bardzo, żeby w Polsce starczyło pracy dla każdego, kto chce pracować.

— A we Francji, — mówił Kazik, — tam też wódki nie piją, tylko przeważnie wino. Ale nie piją tak, żeby aż byli pijani, tego u nich niema. Tylko są weseli. Po robocie siedzą zawsze na powietrzu. Jeżeli idą do kawiarni, też siedzą na krzesłach na ulicy i rozmawiają. Jak gdzie jest muzyka, to na ulicy biorą się wpół, żeby tańczyć. Dużo ich czasem tak tańczy, lubią się zabawić. I prędzej się ze wszystkiego pośmieją, niż żeby mieli się kłócić.

— A jakie były francuskie dzieci? — spytała Emilka.

— Wcale niezłe, pochwalił Kazik. — Nie przezywały się, niczem w nas nie rzucały. Można się było z niemi dobrze zabawić. Na podwieczorek weźmie sobie taki chłopak bułkę i kawałek czekolady. A jak to zje, to już do wieczora nie jest głodny. Bo obiad jedzą dopiero wieczorem.

Teraz znów Emilka opowiadała o siostrach japońskich w szpitalu, jakie były dobre. Emilka wtedy już wyzdrowiała, ale w żaden sposób nie mogła przyjść do siebie. Wciąż musiała leżeć i nawt nie miała siły do tych dobrych sióstr się uśmiechnąć. Robiły wszystko, żeby ją jakoś ożywić i zabawić — napróż-

no. A bez tego nie mogła wyzdrowieć. Więc wtedy siostry umyśliły sobie, żeby nad jej łóżkiem zawiesić akwarjum z żywemi złotemi rybkami.

— Od rana im się przyglądałam, tym rybkom, jak się goniły i bawiły ze sobą. I wtedy dopiero zaczęłam się do nich śmiać.

Tak to siostry japońskie doszły do tego, że się polskie dziecko uśmiechnęło i wyzdrowiało.

Tymczasem mały Kazik nauczył się już pisać i sam napisał do swoich rodziców pierwszy list. Napisał, że mu jest dobrze między swoimi, ale tęskno za ojcem i mamą. I że chociaż mały, ma dużego przyjaciela, który jest dla niego dobry, jak starszy brat. I nawet tak samo się nazywa, tylko na imię ma Paweł.

I cóż się okazało? Kazik rzeczywiście był młodszym bratem Pawła. Z jego listu dopiero rodzice dowiedzieli się, gdzie jest ich syn starszy, którego od kilku lat napróżno poszukiwali.

Takie rzeczy bywały nieraz w tamtych czasach, że ludzie tracili się z oczu na całe lata, nic o sobie nie wiedząc.

Matka Pawła po przebyciu ciężkiej choroby, na którą wcale nie umarła, została odcięta od syna i razem z innymi mieszkańcami musiała uciekać z miasteczka, które spaliło się w czasie walk. Listy wysyłane do opiekunki Pawła, naturalnie nie dochodziły. Nie mogąc tam wrócić, przyłączyła się do innych uciekających, by drogą okólną razem z nimi przedostać się do Polski.

Tutaj dowiedziała się od rodziny, że jej mąż — wzięty z robót do wojska — dostał się do niewoli niemieckiej. Pojechała więc tam go szukać, a po uwolnieniu powędrowali za pracą do Francji. Przyjście na świat drugiego syna nie mogło ich pocieszyć po stracie pierwszego. Dopiero po paru latach dostali wiadomość od dawnej sąsiadki, że jacyś obcy ludzie zabrali Pawła do kraju.

Poszukiwali go więc znów przez konsulat, przez gazety — napróżno. Czyż mogli przewidzieć, że ich dzieci spotkają się w jednej bursie i pokochają, wcale o tem nie wiedząc, że są braćmi?

Jakież było szczęście Pawła, gdy po tylu latach tułaczki dowiedział się nagle, że nie jest sierotą!

Tymczasem w kraju poprawiły się stosunki i można już było znaleźć pracę dla ojca Pawła. Rodzice więc też na koniec powrócili w swoje strony. I wzięli do domu nietylko obu swych synów, Sybiraka i Francuza, ale na prośby Pawła przybrali sobie za córkę małą Emilkę, Japonkę, która nie miała rodziców.

WANDA GRABIŃSKA

DZIECI PRZED SĄDEM.

IV. Do szkoły to ja nie chodziłem...

Policja przyprowadza do sądu dla nieletnich chłopca. Wysoki, rosły, silny. Wygląda na lat 18, z papierów wynika że ma 16. Tylko z oczów nie wygląda na dorosłego, Oczy ma ładne, duże, ale bezmyślne, o wejrzeniu dziwnie nierozgarniętem.

Oskarżony jest o kradzież hamulca z toru kolejowego.

— „Czy przyznajesz się żeś ukradł ten hamulec? pyta chłopca sędzia:

— „Nie".

— A przyznajesz się że go wziąłeś?

— „Nie".

Więc jakim sposobem znalazł się u ciebie w worku?

— „Ja go podniosłem".

— Aha... podniosłeś... a dlaczego?

— „Bo... tak leżał osobno...

— Leżał osobno?... No, a kawałek szyny z toru kolejowego, mógłbyś rozkręcić i wziąć? Ona nie leży osobno.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo bym nie miał na tyle siły?

— No a gdybyś miał na tyle siły, zrobiłbyś to?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo bałbym się policjanta.

A czemu to policja zabrania takich rzeczy?

Pauza. Wzruszenie ramion. Bezradne wytrzeszczenie oczów.

— Nie wiem.

— A czy ty wiesz co to jest Państwo Polskie?

Te same ruchy i to samo „nie wiem".

— A kim że ty jesteś? Niemcem, Francuzem?

— Nie, Polakiem.

— No więc, gdzie ty mieszkasz?

— Na Czerniakowskiej.

— A Czerniakowska gdzie? W Warszawie. A Warszawa gdzie — w Anglji?

— W Polsce.

— No widzisz, w Polsce... — Słuchaj chłopcze gdzie ty się uczyłeś?

— Wcale się nie uczyłem.

— A cóżeś robił przez tych lat 16?

— Byłem 4 lata na wsi, za pastucha, bo mamie było ciężko i nie mogła nas wyżywić.

— A na kursa wieczorowe nie chodzisz?

— Trochę chodzę na kursa, będzie już drugi miesiąc jak chodzę.

Zapisali me.

A tam ci nie mówią o Polsce, o tem kto to jest prezydent, rząd, sejm...

— O sejmach to ciągle pan nauczyciel coś mówi, ale ja tam nie wiem co to takiego?

— I nie wiesz ile tych sejmów jest w Polsce?

— Tych panów sejmów?... Musi bardzo dużo... ale nie wiem...

— Ciemno masz w głowie chłopcze, bardzo ciemno, ledwie łojowa świeczka się tam pali zamiast dużej lampy.

Chodź że pilne na te kursa, a nie śpij na ławce. Musisz dogonić te 4 lata... To dla twego dobra.

Pójdziesz teraz do domu, sąd oddaje cię pod dozór matki; ona tu musi przyjść na sprawę do sądu, musi usłyszeć jak ty się sprawujesz, a sąd od niej się dowie jaki ty w domu jesteś

IV. Jak mię ojciec ze szkoły odebrał...

A oto znów drugi protokół wpływa wraz z zatrzymanym".

Jakież to wystraszone, blade, brudne, obdarte. Na chudym ciele zwisają łachmany. W mizernej twarzy jarzą się duże, ciemne, niespokoje oczy.

Sędzia przegląda papiery. Kradzież gazet z budki.

— No jakże to było chłopcze?

Bo to proszę sądu, nie ja skradłem, tylko drugi chłopak, a on mnie dał tylko do potrzymania. A jak ta pani zaczęła krzyczeć i wołać policjanta, to on uciekł, a mnie pan policjant złapał.

— A ty nie wiedziałeś, że to były kradzione gazety?

— On mi nie mówił.

— On ci nie mówił, ale czy ty wiedziałeś?

Milczenie.

— A czy to ładnie na drugiego zganiać?

Niespokojne ciemne oczy zachodzą łzami. Nagle tryska ich cała fontanna.

— Bo proszę Sądu, to tak było, ale to nie tak było... On wczoraj wziął ode mnie 2 złote na życie, a dzisiaj miał mi dać życie. Ale on i dzisiaj nie miał pieniędzy, więc mi mówi: ukradnij mi gazet, to ja je sprzedam i zwrócę ci pieniądze. Więc to ja dla niego ukradłem, bo on mi wziął te dwa złote... A później to on uciekł i ja nie wiem gdzie go szukać, bo ja bym go tak nabił!...

— Czy ty masz rodziców?

— Nie, ja jestem sierota, mieszkam w przytułku na Dzikiej.

— Oddawna nie masz rodziców?

— Ja ich wcale nie pamiętam.

Na salę wchodzi woźny.

— Panie sędzio — mówi — jakiś człowiek chce tu wejść, powiada że zatrzymano jego syna.

— Syna? Niech wejdzie.

Drzwi się otwierają; wchodzi mężczyzna w średniem wieku, ubrany schludnie i przyzwoicie. Twarz poczciwa, oczy zatroskane.

Coś ty znowu zrobił, ty... ty... ty...

— A kimże pan jest dla niego? — pyta sędzia.

— Jakto kim?Ojcem. To mój syn, proszę Sądu.

Sędzia patrzy na twarz zatrzymanego chłopca, ale gdzietam można tę twarz teraz zobaczyć: broda wwiercona w piersi.

— Podnieś głowę chłopcze. Przypominasz sobie teraz, że masz ojca?

Milczenie.

— On mi ciągle to robi, panie sędzio, ten wyrodek, od dwóch lat tak ucieka z domu, jeszcze jak do szkoły chodził, to było jako tako, a potem...

— Przecież on i teraz powinien chodzić do szkoły, dlaczego go pan nie posyła?

— Bo on chodził do pierwszego i do drugiego oddziału, ale że ja jestem szewc, więc go odebrałem, żeby mi pomagał w domu, bo bym tak musiał brać chłopca na posługi, a tak to on i do „klejenta" mógłby skoczyć i na robotę by się popatrzył.

A to takie złe licho! „Ja nie chcę siedzieć w domu, ja chcę chodzić do szkoły". Mówię mu, poco ci szkoła, kiedy będziesz szewcem, — dobre buty to twoja szkoła! I wziąłem go do roboty. Aż tu kiedyś poszedł odnieść „klejentowi" buty i nie wrócił. Nie było go dwa tygodnie. Odtąd takie z nim skaranie boskie. Co przysiedzi parę tygodni w domu, to ucieka, a ja go szukam po wszystkich komisarjatach. Już mnie tam znają.

— A ile ma pan dzieci?

— Jego jednego, panie sędzio.

— Hm... I kocha go pan?

— Jakżebym nie kochał? Przecież to moje dziecko! Ja dla niego jestem jak ojciec, ale on dla mnie nie jest synem, a jak go bić to też nie pomaga. Więc co mam robić? On ma w domu jeść i pić, ma czyste łóżko, to on woli spać na śmietniku.

Sędzia podnosi oczy na chłopca, patrzy nań długo, uważnie, i jakby inaczej niż przedtem.

— Słuchaj, mały, czy ty naprawdę wolisz spać na dworze, nie u ojca w domu?

— Tak, ja wolę spać na śmietniku.

Głowa podniesiona do góry, w niespokojnych oczach hardość i zaciętość.

— Jak do szkoły chodziłem — mogłem spać w łóżku. Jak mnie ojciec ze szkoły odebrał, to mogę sobie spać na śmietniku.

WYKAZ SZKÓŁ ZAWODOWYCH.

Szkoły zawodowe żeńskie w Warszawie.

Nazwa szkoły	Adres	Warunki przyjęcia	Czas trwania nauki	Opłaty	Zawód i uprawnienia
a) Państwowe 1) Państwowa Szkoła Przemysł. Żeńska	Górnośl. Nr. 31 Tel. 46-77	7 kl. i egz. wst. z jęz. pól. i arytm. w zakresie szk. powsz. Taksa egz. 5 zł. Dokumenty i podanie rodziców, świad. urodz. szczep. ospy, karta zdrowia, św. szkol. życior. i 2 fot.	a) 3 l. b) 2 l.	50 zł. półrocznie	a) krawiectwo, bieliźniarst., introligatorstwo 3 l. Prawo wstąpienia do Państw. Seminar. Nauczyciel. Rzem.
b) Miejskie 1) I. Miejska Szkoła Rękodzielnicza	Mokotów Dolna 25 Tel. 91-23	7 kl. w wieku 14–18 l. i egz. wst. z jęz. pol., geogr. hist. i nauki o Polsce, rachunków, jęz. obcego. Wpisawe 10 zł.	3 l.	50 zł. półrocznie 1/XI i 1/IV	Działy: 1) biliźniarst. z haftem białym 2) koron. haftarstwo 3) kilimkarst., tkactwo, dywaniarst. 4) bieliź., krawiecz. Prawo otwierania pracowni z zachowaniem przepisów obow. wstęp po egzam. do Państw. Sem. Rzem. i uprawiania do naucz. w szkołach zawod. (Dz. U. R. P. Nr. 29 poz. 271 art. 22 c, ust. 28 c)
2) II. Miejska Szkoła Rękodzielnicza	Szczęśl. 6 T. 226-22	— dtto —	3 l.	— dtto —	dtto + kamasznictwo
3) III. Miejska Szkoła Rękodzielnicza	Praga Białost. 4 T. 226-18	— dtto —	3 l.	— dtto —	dtto prócz kamasznictwa

Szkoły zawodowe męskie w Warszawie.

II. Techniczne i rzemieślnicze.

Nazwa szkoły	Adres	Warunki przyjęcia	Opłaty roczne	Czas nauki	Zawód i uprawnienia
a) Państwowe 1) Państwowa Szkoła Budownictwa	Wspólna Nr. 81 T. 280-44	7 klas szk. powsz. i egz. z jęz. polsk., arytmetyki, algebry i geogr. i rys. odręcz. (Program egzaminu w szkole) wiek 15—18 lat. Taksa egz. 7 zł., wpisowe 5 zł. Egzamin od 15/VI	Rocznie 140 zł. w 2 ratach	4 lata i praktyka wakac.	Technicy budowlani w zakresie budownictwa miejskiego i wiejskiego, urządzeń technicznych np. ogrzewnictwa, wodociągów i kanalizacji domowej.
2) Państwowa Szkoła Drogowa	Wspólna Nr. 81 T. 427-85	i około 15/X. Dokumen.: pod. metr. świad. szkol. świad. szczep. ospy świad. zdrowia, fot. i curriculum vitac (życiorys) własnor. pisany Reszta jak punkt 1. (Szkoła Budow.)	— dtto —	4 lata	Technicy w zakresie dróg lądowych i wodnych, regulacji wód, wodociągów i kanalizacyj miejskich, most.

(D. n.)

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.

Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.

WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.